Ner 13. Kraków 1 lipca 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Jagiellońskiéj Nr. 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **kolorową rycinę mód, arkusz krojów i wzorów, i model z angielskiéj bibułki w naturalnéj wielkości.**

ARTUR GROTGER.

Ustęp z dziejów sztuki polskiéj.

(Ciąg dalszy.)

„Wojnę“, jak ją obejmował cały plan artysty, składają następujące obrazy:

Na winecie dwa szkielety w koronach, które walcząc ze sobą, trzymają się pod gardło.

Postać kobieca wyobrażająca natchnienie-muzę, prowadzi artystę za sobą, aby mu ukazywać coraz to straszniejsze widoki. Na każdym następnym obrazie odnajdujemy te dwie postacie; na twarzach ich maluje się to samo wrażenie, jakiego każdy widz doznawać musi.

Oto na niebie pokazuje się, zwykły według wiary ludu zwiastun wojny *„kometa“*. Przed nami uśmiecha, wypieszczona przez artystę śliczna wiejska ustroń, zakątek pokoju i szczęścia. Ale zebrane rodzinne grono zaniepokojone na widok komety. Z przestrachem wytężyła oczy stara matka otulając drobną dziatwę, z trwogą tulą się do siebie młodzi — bo zapowiedź nieszczęść już dyszy w powietrzu — ciebą melodją zmącił nieharmonijny zgrzyt.... Jest to motyw wstępny w tym samym rodzaju jak w *„Litwie“*. A pamiętamy z P. Tadeusza, jakie tam kometa budzi obawy i nadzieje w dworze Sopliców.

Więc wojna — nie ma już sielanki, nie ma szczęścia rodzinnego....

Jesteśmy *„w izbie rekrutacyjnéj“* — wokoło stołu zasiedli umundurowani siepacze, postacie straszne, zwierzęce — pod miarą stoi chłopiec blady, sztywnie wyciągnięty, jakby trup powieszony — a cisnącą się przez drzwi staruszkę, zapewne matkę, odtrąca żołdak....

Przepadło — już odjeżdżają — cały tłum konny znika w oddali — i pozostała tylko zapatrzona i zapłakana młoda kobieta — żona — z dzieckiem na ręku — niezadługo to dwie sieroty....

To jeszcze małe boleści, idźmy daléj. —

Oto los wojny kazał podpalić miasto — łuna pożaru u góry, a dołem ciężki dym zalegają cały widnokrąg — a wśród téj zgrozy nocnéj tłumy ludu z tłomoczkami i dziećmi na plecach uciekają — ale dokąd? Artysta i muza patrzący ze skały, kamienieją z przerażenia, oświeceni pożarną łuną....

Zanim pójdziemy za tułaczami, zajrzyjmy jeszcze do miasta, do wnętrza domów. Okropność, ruina, dwa trupy żołnierzy, co tylko skończył się zaciękły bój w czterech ścianach. A cóż znaczy ten trup kobiety? ta walka, to o nią może? — I pozostały tylko drobne dzieci — starsze prowadzi młodsze, a to uśmiecha się bo poznaje

matkę — umarłą.... Ten uśmiech tutaj, to jęk ponad jęki — muza zakryła twarz....

Uciekajmy za tułaczami — starce, dzieci, kobiety znaleźli się w spustoszonéj okolicy, dalej się powlec nie mogą, bo uwięził ich *„głód“* —, tylko pies wyje jeszcze ostatkiem sił....

Poza niemi, na pobojowisku odbywają się inne sceny: hieny czy ludzie obdzierają rannych i trupów. —

Tam znowu konieczność sroga, sąd doraźny na złapanego szpiega.... Wszyscy ci ludzie okropni, niepoznałyby ich żony, ani matki.

Nie ma już ochrony i ucieczki, chyba do kościoła modlić się i płakać. — Ale i kościoła już nie ma — w kościele obóz, świętości wywrócone, żołdactwo pijane roztasowało się, na karku Chrystusa wisi karabin, z ołtarzów żłoby.... Całéj téj grozy i boleści zwykłém słowem opisać się nie da. Kiedy nawet artyście brakło odmiennéj siły i charakterystyki wyrazu i muza tutaj po raz drugi zakrywa twarz....

Jest to poemat trzymany ogólnie — ludzko — kosmopolitycznie, bez akcesorjów jakiejkolwiek narodowości, bo też wojna jest klęską ogólną, która na ludzkości ciąży. A jednak jakiż tu dziwny związek pomiędzy rzeczami. — Tę pieśń bólu, ten krzyk oburzenia przeciwko barbarzyństwu, nie mógł wyśpiewać kto inny, tylko syn narodu oficjalnie za niepokoje osławionego — a który właśnie najwięcéj od wojny i gwałtu cierpi!

Ukończywszy to arcydzieło, w którém twórczość fantazyi, potęga efektów, czystość rysunku, owładnięcie technicznych trudności doszły do szczytu doskonałości — dzieło, które prostotą i jasnością pomysłu i każdego szczegółu wysławia się w sposób dla każdego prostaczka zrozumiały — odetchnął Grotger oczekując powodzenia i spełnienia swoich marzeń. Więcéj też począł się udzielać pomiędzy ludzi — a miał to do siebie, że zawsze koło niego ugrupowało się małe gronko przyjaciół, w którém panował humor i swoboda. I schodzili się w skromnéj garkuchni *(rue pont Louis Philip — 15.)* na wspólne obiady, na których niby rolę ojca rodziny miał stary jeden Francuz, republikanin, zakochany w Polakach — a co do humoru wiódł rej Artur. Był to miły, serdeczny widok, jakby polska oaza wpośród cudzoziemskiéj pustyni. Wtedy to, gdym go przy kieliszku starego Bordeaux (dobytego wyjątkowo na przybycie gości z kraju) zagadnął: kiedy wraca? odpowiedział z wesołą dumą: „niech zdobędę kilka medali, a polecę natychmiast do kraju i do niéj“....

W tym czasie zajmował się też Artur chwilowo pracą nie już artystyczną, ale literacką — po któréj pozostałe ślady najlepiéj same rzecz wytłumaczą. Przytoczę kilka ważniejszych, charakterystycznych wyjątków — które z treści swojéj właśnie tutaj odpowiednie znajdą miejsce, i przyczynią się zarazem do bliższego jeszcze poznania piszącego:

„A.... prosił mnie, żebym się podjął napisania sprawozdania o wystawie powszechnéj r. 1867 w Paryżu, a poszczególe dzieł sztuki polskiéj.... a że wszystko co piszę o rzeczach bliżéj mnie obchodzących do Ciebie należy, więc i wspomnione sprawozdanie w Twojéj książeczce nakreślam......

(Tu następują wzmianki o trudności pisania dla człowieka, który nigdy piórem się nie bawił.)

....Pisząc sprawozdanie, rozumie się, że krytykować potrzeba, bo na prostém wyliczeniu myśli i środków, zapomocą których dzieło sztuki stworzoném zostało, poprzestać nie można, a więc o zaletach i wadach, albo usterkach mówić należy.... otóż mamy i krytykę! Czém ona była w historyi wszelkiego rozwoju, o tém mówić jest zbytecznem. Że jest ona raz bolesną chłostą, raz miłą zachętą, raz wyrzutem sumienia, a kiedyindziéj znowu nawet miłą wskazówką dla pracującego, o tém wszyscy wiedzą. Mówiąc w obrazie, jest ona owym ogrodnikiem, który z zimną krwią i choćby najnielitościwiéj ostrym nożem obżyna najpiękniejsze liście i gałązki szlachetnego krzewu, ażeby przez to dodać mu żywiołu do rozwoju i zakwitnięcia wspanialszego. Taką być powinna krytyka....

Lecz dla czego u nas w Polsce jest ona raczéj polem popisu talentów retorycznych, albo areną igrzysk feiletonowych, albo nareszcie deptakiem dla uprzywilejowanych, że tak powiem patentowanych znawców?.... Wistocie dotychczas tylko brak żywiołu dla krytyki był głównym powodem, że nie stanęła jeszcze na téj wysokości jak w Niemczech i Francyi, a tylko biedaczka ledwie że nie chyłkiem przekrada się przez zastęp niespokojnie ku niéj poglądających pracowników, a jeszcze liczniejszy ciekawych widzów. Bo też krytyka tylko na takiém polu zakwitnąć może, na którém sztuka już owoce wydała....

Dotychczas mało kto o tém myślał, że na polu sztuki biedny Polak, tułacz, będzie miał lub ma wszelkie prawo zmierzyć się z cudzoziemcami. Jeszcze nie przebrzmiały słowa, które zawyrokowały, że sztuka na polskiéj ziemi, a przynajmniéj malarstwo, nigdy nie zakwitnie i jako flanca na obcą ziemię przesadzona, prędzéj lub później uschnie i zaginie. Nic dziwnego, że zwątpiwszy o szlachetnym kwiatku, nie poszukaliśmy dlań ani zacisznego miejsca, ani ogrodnika, któremu staranie o nim powierzyćby można — a z tém dla nas polskich malarzów dotąd jeszcze ani sposobności do pracy,

ani prawdziwéj nauki, którą stanowi opinia, a któréj wyrazem jest krytyka. Pracowaliśmy sami, mając za jedynego bodźca albo poklask dobrych przyjaciół, albo biedę stojącą za progiem, albo co najrzadziéj jakiegoś myślą tylko pojętego przewódzcę, który jak stróż-anioł zasłaniając z jednéj strony, a wiodąc na drugą, kierował na prawdziwą drogę. Ani ze strony rządu, ani kraju o nic się nie starano. Sztuka i jéj uczniowie uważani byli jako artykuł zbytku na targu intellektualnych zdolności — nie zastanowiono się nad tém, że sztuka na właściwém stanowisku jest dla budowy społeczeństwa jednym z najgłówniejszych filarów, na którym w niebo strzelające sklepienia są oparte. Jak za czasów... (nieczytelne) i Medyceuszów, artystę uważano jako namazańca Bożego, tak niedawno jeszcze patrzano na nich jako na lekkoduchów, którzy za mało będąc wytrwali na mądrych uczonych, za mało sumienni na porządnych obywateli, byli dość dobrzy na to, aby **dziwne** zdolności swoje dla zabawy i rozrywki reszty szanownego społeczeństwa używać. Nie pamiętali, że to są uczniowie nieśmiertelnéj mistrzyni, téj, która ukochawszy niegdyś Greków i Rzymian, nauczyła ich zdumiewać pokolenia tysiące lat później żyjące nad potęgą i światłem Athenów i Romy. — Ale poćóż sięgać tak daleko, należałoby raczéj zajrzeć do budżetów państwowych, albo biurek naszych własnych i przekonać się na co się funduszami szafuje po zwyczaju — a z tego możebyśmy się najprędzéj dowiedzieli, gdzie główna przyczyna, że pod względem artyzmu i wszystkiego co on za sobą prowadzi, przyzostaliśmy więcéj jak inni....

A przecież my mamy sztukę, artystów, tylko krytyki nie mamy. Dosyć powiedzieć, że oprócz kilku, którzy jakby prawem pierworodztwa piastują berło krytyki — nie mamy nikogo.... Nie mówię, aby na nic nie zasługiwali, nie odmawiam im bowiem ani szczerości, ani poczciwéj intencyi i owszem przyznaję nadzwyczajną zasługę — ale zaprzeczam prawdziwéj użyteczności. Są to ludzie pełni serca i uczucia, pełni wiedzy pokierowania opinią publiczną — ale nie p o u c z a n i a a r t y s t y. A dla kogóż pytam stworzona jest krytyka, jeżeli nie dla samego artysty? Ona n a m przynależy, dla n a s pisaną być powinna, a nie dla ciżby patrzących. U nas zdaje mi się zapatrywano się na to ze stanowiska zupełnie fałszywego, bo dotąd pisano krytyki prawie nigdy dla artysty, ale prawie zawsze dla ciekawéj publiczności. Robiono to w najlepszéj intencyi, bo dla tego, aby w różne strony rozstrzelone, a tylko w nieświadomości patrzącego wyrzeczone zdania niby w snopki powiązawszy i pod każdy z odpowiednich objektów powkładawszy, tym sposobem zjednoczyć i nadać im cechę opinii publicznéj.... Każdy z artystów nieraz miał sposobność przekonania się o magicznym wpływie, który wywierają na zwyczajnych śmiertelników drukowane słowa „artykuły w gazecie“. Często po takim artykule zauważy się, że znajomi spotykający się, albo miléj się uśmiechają, albo witając mocniéj ręce uściskają, niż zwykle bywało — albo przeciwnie obojętnieją, a czasem nawet z politowaniem wymawiają zwykłe pozdrowienia — a wszystko to ostatni numer dziennika X., albo gazety Y. wywołał! Nic więc dziwnego, że jak dla pojedyńczych, tak i dla masy widzów drukowane słowo wielkie mając znaczenie — równie ważne pociąga za sobą następstwa..... Ale też właśnie dla tego krytyka jest rzeczą sumienia, a kto się do niéj zabiera, ten o kompetencyi najsilniéj powinien być przekonany. Któż jéj mieć może najwięcéj? oczywiście wtajemniczony, a więc artysta. Ale czyż artyzm wszelki jednakiemi rządzi się prawami? Czy między sztuką poezyi, malarstwa, lub muzyki wobec krytyki nie byłoby żadnéj różnicy? Czy bez względu muzyk, malarstwo, poeta muzykę, a malarz poezją mógłby krytykować?...

Za odpowiedź posłużyć może anekdota o obrazie Aleksandra Wielkiego i jego bucie, a raczéj sandałach....*). Tak — krytyka wymaga wtajemniczonego — a jak nim jest malarz w swoim zawodzie, nigdy takim ani poeta, ani muzyk w malarstwie nie będzie... Lecz zapytasz mnie, zkądby t y l k o ludzie fachowi mieli posiadać świadomość słusznego ocenienia dzieła sztuki? Na to odpowiem: ż e o d d a j ą c b u ł a w ę k r y t y k o w i, o d d a m j ą w t a j e m n i c z o n e m u, a w i ę c a r t y ś c i e, n i e w c h o d z ą c, c z y j e s t z a r a z e m w y k o n a w c ą c z y z n a w c ą; bowiem, aby dzieło sztuki ocenić, nie potrzeba równie piękne, lub doskonalsze umieć samemu zbudować, ale to pewna, ż e g ł ę b o k i e s t u d i u m i w y ł ą c z n e o d d a n i e s i ę j e s t p o t r z e b n e..... W krytyczne uniwersalne geniusze tak nie wierzę, jak w wszelką uniwersalność będącą tylko dziełem matematyki filozoficznéj (?), czémś nienaturalném i w stworzeniu nieistniejącém, dlatego z góry k a ż d e m u k r y t y k o w i s p e c j a l n e t y l k o z d o l n o ś c i p r z y p i s u j ą c, t a k i c h p o n i m s ł u s z n i e w y m a g a m“....

---

*) Malarz Appeles wystawił obraz Aleksandra Wielk. i ukrywał się za nim, aby słuchać uwag publiczności. — Pewien szewc zauważył, że sandały są mylnie zrobione — Appeles poprawił je. Nazajutrz tenże szewc widząc poprawkę, począł krytykować twarz, wtedy Appeles z poza obrazu odezwał się: Szewcze, zostań przy kopycie.... (Przyp. Red.)

W tych szlachetnych i trafnych uwagach odsłania się autor w całéj powadze kapłana sztuki, który zawód swój pojmuje na serjo, jako kult duchowy i obywatelską pracę. Potrzeba było przytoczyć tę spowiedź, bo są ludzie, którzy Grotgera o lekkość i płochość obwiniają. Nie wiedzą oni, że kto jest zdolnym do prawdziwego, wielkiego uczucia, tego już nie mierzyć krawiecką miarą; nie wiedzą, że utwory sztuki, jest to wyrób wewnętrznych zapasów, olbrzymich potęg duszy bogatéj i głębokiéj, jest to palenie się ofiarne — kapłan i ofiara w jednéj osobie, osobiste światowe szczęście rozwiewa się w popiół — i tylko dla narodu pozostaje sława....

Do powyższych wyjątków już należy nie z notat, ale z ustnéj tradycyi dodać kilka uwag Grotgera o sztuce: Z polskich malarzy uwielbiał Matejkę i Rodakowskiego. Matejki „*Upadek Polski*“ zrobił na nim ogromne wrażenie. Nad jednym z malarzów ubolewał, że talent swój luzem puszcza, zaniedbał studia, i „malarstwo przerzuciło mu się w gębę“. Simlera Barbara wcale mu się nie podobała. — We francuskiém i belgijskiém malarstwie widział więcéj naśladowania natury i starych mistrzów, w ogóle więcéj techniki — u Niemców więcéj ducha kompozycyi. Kaulbacha podziwiał, jednak nie podobał mu się jego kierunek przeprowadzania filozoficznych idei w malarstwie....

Zostawiając do właściwego miejsca ogólny pogląd na prace samegoż Grotgera, trzeba nam teraz jeszcze przyjrzeć się ostatnim jego obrazom, które w tym czasie powstały. Twórczość bowiem jego nie próżnowała ani chwili — niesłychanie był wrażliwy, fantazja jego była niewyczerpaną, pracowitość nad siły, a i wymagania życia nie przestawały dokuczać. Obrazy te dotąd w kraju wcale nieznane są oprócz wielu portretów następujące: Edmundowi Chojeckiemu autorowi najznakomitszéj powieści polskiéj „Alkhadar“, ofiarował rysunek przedstawiający „*Nastusię*“ z téj powieści. W postaci téj ruskiéj dziewczyny zidealizował Chojecki wszystkie skarby serca, poezyi i poświęcenia, jakie leżą ukryte w piersiach naszego ludu — a malarz według słów Chojeckiego przedstawił ją lepiéj jeszcze w rysunku, jak on w powieści. Bo też ta postać wdzięczna, liliowa nadała się szczególnie do ówczesnego usposobienia artysty serdecznemi marzeniami kołysanego. „*Nastusia*“ i dawniejsza jego praca „*Gavroche*“, ów ulicznik z „Miserables“ W. Hugo, są to arcydzieła ilustracyi, w których trafność wyrazu bez komentarza sama za siebie przemawia.

Pod wpływem muzyki przyjaciela swego a znakomitego kompozytora Wł. Żeleńskiego i X. Marc.Czartoryskiéj — muzyki, która zawsze przez niego ukochana — wówczas w obczyźnie jedyną prawie była mu pociechą i osłodą, która uspokajała go w zwątpieniach i w zniechęceniu — wykonał przedostatnie swoje dzieło wyobrażające „*Muzykę*“ — muzykę wzniosłą, głęboką, Bethowenoską. Postać kobieca naturalnéj wielkości ubrana w białe powiewne szaty, gra na skrzypcach — wokoło wieńce i insygnia muzyczne. Był to obraz najwięcéj przez artystę ukochany, jako hołd wdzięczności, który złożył dla sztuki duchowi swojemu sympatycznéj i będącéj dla niego magiczną krynicą radości i zachwytu. Obraz ten nabył hr. Branicki — a tak muzyka stała się dla artysty nawet materjalną pomocą, gdyż dopiero za te pieniądze kupił ramy do obrazów „*Wojny*“, które ukończone na wystawienie czekały. (C. d. n.)

Spartanka-Polka.

„Więc zginął w boju! Ale walczył dzielnie,
Śmierć go zastała z bronią w silném ręku,
A pierś choć strzałą przeszyta śmiertelnie,
Choć wzdęta bólem, nie wydała jęku“.

Nad śmiercią brata tak duma Spartanka,
Łzy, ból zakrzepły w jéj piersi stalowéj!
A z Termopilów po śmierci kochanka
Powiało echo pieśni pogrzebowéj!

Z smutkiem na twarzy w szacie pokutnicy
Polka po stracie brata w krwawéj bitwie
Łzawy wzrok rzuca na obraz Dziewicy
Gdy duch utonął w gorącéj modlitwie.

„Święta Królowo, z ufnością dziecinną
My matki, siostry przynosim w ofiarze
Rozpacz i smutek, krew dziatek niewinną,
Niech się zapełnią poświęceń ołtarze!“

Br. Ło.

Pamiętnik sieroty.

przez ***Bohdana.***

(Ciąg dalszy.)

„O drogie domowe ognisko, pocieszycielu i przyjacielu nasz! Gdy wszystkiego innego nam zabraknie, rozstać się z tobą, w jakiéjby to kolwiek było chwili życia — między kolebką i grobem, jest zawsze rzeczą bolesną“! *).

---

*) „Walki życia“ — przez Karola Dickens.

O! nie dość powiedzieć **bolesną**! ja czuję, że jest **okropną**. Przy rozstaniu dopiero uczuwam to, jak dalece ognisko domowe przykuwa serca do siebie, i jak się to biedne serce krwawi, gdy go oderwać trzeba. Bóg mi dał dość mocy charakteru, przeznaczając mnie na sieroctwo i stratę rodzinnego mienia; jednak dziś uczułam się tak nieszczęśliwą, jak słaby ptaszek bez skrzydeł, z gniazda swego wyrzucony.

Jutro wyjeżdżam; staram się być spokojną, i jestem nią na pozór; lecz jakiś rozdzierający głos wewnętrzny skarży się w głębi mego serca...

W drodze. * * *

Zbliżam się do nowych przeznaczeń moich; czuj się silną i zrezygnowaną zupełnie, choć wyjazd mój z domu był jedną z prób ciężkich, jakie przebyłam w życiu mojém.

Chciałam przez chwilę umniejszyć sobie téj boleści wyjazdem przyśpieszonym i potajemnym; ale zgromiłam się potem za taką słabość, przezwyciężyłam się i dobrze się stało. Byłabym się pozbawiła wielkiego dobra.

Nie spodziewałam się doprawdy, tyle dowodów nie kłamanego współczucia i żalu, jakiém mnie otoczono.

Jak wielkim skarbem jest miłość ludzka!

Brzozy. * * *

Chcę rozebrać moje wrażenia z dzisiejszego wieczoru. Wszak to ważna epoka w życiu mojém, wstęp do nowego zawodu.

O zachodzie już słońca przybyłam do Brzóz. Podróż moja dobrze mnie usposobiła moralnie; jechałam przez piękny kraj, pogoda była prześliczna na świecie bożym, i w duszy też mi było jakoś pogodnie. Dwaj starzy słudzy hrabiostwa, którzy mi towarzyszyli, życzliwie grzeczni, uprzedzali mnie korzystnie o tym domu, w którym znaleść miałam schronienie.

Z sercem więc lekkiém mniéj więcéj, choć zamyślona poważnie, wjechałam do wsi dużéj, ładnie położonéj, otoczonéj lasami; długą ulicą staremi brzozami ocienioną, co bardzo malowniczo i mile wygląda, skierowaliśmy się ku dworcowi.

Dom ten dość duży, o piętrze, z dwoma bocznemi skrzydłami, cały szaréj barwy — z kamienia, otoczony z trzech stron ogrodem, wygląda na bardzo stary, ale utrzymany czysto, cało i porządnie.

Wysiadłam z powozu — a poczciwy służący co mi towarzyszył, poprzedził mnie, pokazując drogę. Dziecinnie ścisnęło mi się serce; przypomniał mi się obyczaj kilku rodzin skromnéj sfery towarzystwa, z któremi miałam stosunki, witania gościa u progu swego domu. Tu nikt nie wyszedł.

Przez długie wschody, przez kilka sal i pokoi w téj chwili pustych, przeszłam, ze wzmagającém się uczuciem smutku; doszliśmy w końcu do drzwi sali, z któréj dochodził odgłos jakiéjś rozmowy. Józef otworzył drzwi i zameldował mnie.

Weszłam; na widok spodziewanéj nauczycielki poważna dama, (była to sama hrabina P.) powstała z miejsca, podała mi uprzejmie rękę i usadowiła obok siebie. Obejrzałam się wtedy po salonie; nie było nikogo prócz pary hrabiostwa.

Hrabia wygląda na starego Anglika, grzeczny bardzo, zimny, lecz w sposób ten nie dotkliwy, nie obrażający.

Hrabina mnie zajęła; pomimo wieku i widocznie bardzo złego zdrowia, ślady piękności ujmującéj, wdzięk jéj obcowania, śpiewna słodycz głosu, objawiająca charakter łagodny i uczuciowy, odrazu mnie do niéj pociągnęły. Daj Boże, żeby zachowała dla mnie i nadal ten miły urok.

— Proszę powiedzieć **panience**, rzekła do służącego, po kilku chwilach rozmowy ze mną, żeby tu do mnie przybiegła. Bawi się na balkonie...

W téj chwili mała osóbka, w białéj sukience, z długiemi kędziorami bardzo jasnych włosów na odkrytych trochę ramionach, stanęła we drzwiach.

— Chodź, Luniu — rzekła hrabina do wnuczki, przedstawię cię pannie Maryi O..., twojéj nauczycielce i przyszłéj przyjaciółce, jéźli na to zasłużysz.

Dziewczynka podbiegła bliżéj, wpatrzyła się we mnie ostro, pięknemi, czarnemi oczami, nieokreślonego jakiegoś wyrazu; chwyciła mnie raptem za rękę, a drugą rączką swą wolną objęła mnie za szyję i rozpłakała się głośno.

Starzy hrabiostwo spojrzeli wzajemnie na siebie.

— **Zawsze dziwna**! rzekł hrabia półgłosem, po francuzku.

— Czegóż płaczesz, moje dziecko, rzekła łagodnie hrabina, kiedy się cieszyć powinnaś.

— Ja się cieszę — rzekła dziewczynka.

Podano herbatę; Lunia mnie nie opuszczała — przez cały czas prawie, mocno trzymała mnie za rękę, i wpatrywała się we mnie swemi dziwnemi i pięknemi oczami.

Rozeszliśmy się wkrótce na spoczynek; hrabina z wielką grzecznością odprowadziła mnie sama do pokoju, w którym mam wspólnie mieszkać z moją małą wychowanicą. Mieszkanie to przyjemne bardzo, mamy cichy i świeży pokoik sypialny i ładną salkę do nauki, z balkonem wychodzącym na ogród. Ten przybytek prac moich przyszłych, może lat kilku, mile i melancholiczne jakieś zarazem, uczynił na mnie wrażenie. Ułożyłam do snu Lunię, a potem sama uklękłam przed obrazem Matki Boskiéj, nad łóżkiem Luni zawieszonym, i nad jasną główką uśpionéj dziewczynki, zaniosłam

do Boga gorącą modlitwę o łaskę jego duchową. Chcę czuwać nad główką i sercem tego dziecka. Życie moje może zejść smutnie bardzo i dla mnie marnie zupełnie; ale, jeźli Bóg mi dopomoże w stałém i gorącém postanowieniu, bezkorzystném dla drugich nie będzie.

Przypominam sobie teraz wszystkie myśli mojego zacnego ojca, które zastósować mogę do chwili obecnéj mego życia. Pamiętam jak mi zalecał w najbłachszéj nawet rzeczy tę głęboką sumienność, która powinna przewodniczyć każdéj czynności chrześcijanina i oświeconego człowieka, któremu charakter ten podwójny moralnéj jego osobistości nakazuje też podwójny obowiązek być, o ile może, doskonałym. U wielu ludzi, „mówił mi kiedyś mój ojciec“, doskonałość moralna to jak suknia świąteczna, co się na wielkie chowa okazje; u ciebie moje dziecię, niech będzie myślą każdéj chwili każdego kroku twego, żeby się stała powszednią i codzienną...

Powtarzam sobie tę prostą i świętą radę, i modlę się jeszcze w duchu, bym nigdy od niéj nie odstąpiła. Kończę... chcę zasnąć z tą myślą pobożną, pierwszéj nocy, którą tu przepędzę....—

Pracuję i dobrze mi na duszy. Prowadzimy tu życie ciche, poważne, samotne, takie, jakie obecnie przypada doskonale do mego usposobienia. Nie widujemy nikogo; chociaż nie jestem odludkiem, bardzo to mi dogadza.

Książkowa nauka Luni zabiera mi jeszcze mało czasu, bo w tym wieku nie wiele jéj potrzeba; ale jestem z nią zawsze, kształcę ją moralnie, i przywiązałam się szczérze do tego dziwnego dziecka, jak ją wszyscy nazywają. Ona też ze swéj strony, okazuje mi uczucie właściwe jéj naturze, to jest jakieś gwałtowne i niezwykłe wyegzaltowanie. Jest to rzeczywiście charakter nie codzienny, potrzebujący wielkiéj staranności i opieki nad sobą. Mam jednak nadzieję, że mi się w pracy téj powiedzie, bo nie jest zbytecznie trudną, a oddaję się jéj cała.

Poznałam już trochę mały mój światek teraźniejszy. Hrabia jest zawsze ten sam, jakim mi się okazał pierwszego wieczora, zdaje mi się jednak okazywać więcéj ufności; śledzi dyskretnie i jakby z niechcenia moje zachowanie się, i widać, że ten egzamin zadowalnia go. Hrabina, z swéj natury więcéj wylana, bardzo serdecznie się ze mną obchodzi; głowy mi to nie zawraca, bo nie należę do czcicieli złotego cielca — nigdy majątek, imię, znaczenie socjalne nie robiły na mnie wrażenia; ale też z drugiéj strony nie podzielam wcale demagogicznéj pogardy dla arystokracyi wszelkiéj, i nienawiści, któréj smutną sprężyną jest tylko zazdrość.

Ja nic nikomu nie zazdroszczę; może się to wydać dumném i zarozumiałém, ale z pewnością nie pochodzi to z dumy, ani zarozumiałości, lecz jedynie z przekonania, że to co jest do pożądania na świecie, w mojéj mocy jest osiągnąć.

Dążę też do tych dóbr z zapałem i wytrwałością.

Dobrzy to ludzie ci starzy hrabiostwo, jak to na wielu rzeczach uważać mogę; i cieszyć się powinnam, że w tak trudnym i przykrym nieraz zawodzie jak mój, na ich cichy dworzec natrafiłam; ale słusznie mówiła księżna M., że znajdę tu przesądy, i zasady, bardzo przeciwne moim; inaczéj być nie mogło.

Wykarmiona jasnemi ideami moralnego postępu, nieraz słyszę tu zdania tak wsteczne i prawdę mówiąc, oburzające, dla duszy mocno i żywo czującéj, że trzeba mi całą siłę duszy wezwać na pomoc, żeby wśród rozmów podobnych zachować filozoficzne umiarkowanie.

Lecz z drugiéj strony przyznaję wszelką słuszność zdaniu Zofii, że kompensacją bardzo ważną téj rzeczywistéj przykrości, jest dobre wychowanie osób, z któremi żyję. O ile mi się zdaje, przyjęłabym z przyjemnością obowiązek nauczycielki przy szkole szlachty czynszowéj lub kmieci; lecz trzebaby mi wielkiéj na to rezygnacyi, żeby zamieszkać w domu państwa Trywialnickich, moich dawnych sąsiadów i uczyć ich Masię i Elodzię.

Jest pewien rodzaj ludzi wpół-oświeconych, mających wszelkie możliwe pretensje, a którym brak wszelkiego gruntu, jak się wyraża mój stary przyjaciel pan Jacek; próżność, głupota, egoizm — stanowią całe tło ich osobistości duchowéj, smutne to połączenie, i ciężkiém niewypowiedzianie musi być życie z takimi ludźmi.

*
* *

Wczoraj dziwną rozmowę miałam z Lunią. Patrząc na suknię moją czarną, obszytą białą tasiemką, spytała mnie, dla czego zawsze ją noszę.

— Jestem w żałobie odpowiedziałam. Takie suknie noszą ci, którym umrze ojciec, albo matka. Ja ojca straciłam niedawno.

— I ty nie masz ojca, Maryniu? rzekła, (bo odrazu mnie tak serdecznie i poufale zaczęła nazywać, w czém nie widziałam potrzeby ją poprawiać). Mnie ojciec dawno porzucił. Pokażę ci w galeryi obrazów portret jego, przed którym nieraz długo stoję i wpatruję się...

— A matkę pamiętasz? spytałam, bez żadnéj myśli badania tajemnic familijnych.

— Matkę? rzekła Lunia. Spojrzałam na nią i zdziwił mnie wyraz téj ośmioletniéj twarzyczki.

— Mów mi o mojéj matce, zawołała — obejmując mnie.

— Cóż ja ci mogę powiedzieć, moje dziecię? Nie znałam jéj i nic o niéj nie wiem.

— Ja ją pamiętam, rzekła Lunia smutnie. Była bardzo piękna, prawie tak piękna jak ty, i śpiewała prze-

ślicznie... zawsze prawie śpiewała. Pamiętam śliczny domek biały, gdzieśmy mieszkały, i jakąś rzekę i miasto i kościoły, do których chodziłyśmy co rana... i duży, duży budynek z ogromną salą, bardzo oświeconą, gdzieśmy siadały co wieczora, w jakiéjś komórce, mama na krześle, a ja u jéj nóg, i patrzyłyśmy na ludzi ładnie ubranych, co po téj sali chodzili i śpiewali. Mama bardzo lubiła słuchać ich śpiewu. Ja ich także lubiłam, ale nikt dla mnie nie śpiewał tak ślicznie jak mama.... O gdybyś mnie nauczyła tak śpiewać, Maryniu!

— Będę cię uczyć śpiewać, rzekłam.

— Doprawdy! zawołała Lunia uszczęśliwiona, rzucając mi się na szyję.

Zaprowadziła mnie do fortepianu, usadowiła i zaczęła błagać, żebym jéj co zaśpiewała. Przypomniałam sobie barcarollę wenecką *„la bella Erminia“*, którą mój ojciec lubił bardzo, jako mile wspomnienie swojéj podróży po Włoszech.

Lunia słuchała mnie z dziwném natężeniem uwagi, z zarumienioną twarzyczką i łzawemi oczami. Gdym skończyła, zaczęła klaskać w rączęta z zapałem.

W téj chwili weszła niespodzianie hrabina, i pod zdziwioném jéj wejrzeniem, które pomimo łagodności swojéj, umie czasem przybrać chłodny wyraz nagany, zapał biednéj Luni umilkł.

— Nie dziwię się, moja Luniu, rzekła hrabina, że admirujesz śpiew panny Maryi, który jest rzeczywiście bardzo piękny, ale to klaskanie niestósowne.

Spojrzałam na hrabinę i spostrzegłam w jéj wyrazie jakiś smutek i gniew niezwykły na jéj obliczu, któréj większa nawet niestósowność, popełniona przez dziecko, a tém bardziéj tak niewinna, nie mogła usprawiedliwić. Dwie łzy zabłysły w oczach Luni! hrabina to spostrzegła, przyciągnęła ją zwolna do siebie i pocałowała w czoło.

— Idź się bawić chwilę do drugiego pokoju, rzekła. Mam pomówić z panną Marją.

Dziewczynka wyszła. Hrabina patrzyła na oddalającą się wnuczkę, westchnęła i rzekła po chwili:

— Czy pani ma zamiar uczyć Lunię śpiewać?

— Śpiew należy zwykle do przedmiotów składających wykształcenie panny, jeżli ta ma głos, odpowiedziałam, bardzo naturalnie. Chciałam się właśnie przekonać, czy Lunia może śpiewać.

— Zadziwi to może panią, rzekła hrabina, rumieniąc się widocznie, i mówiąc jakby z wysileniem. Ale wyznaję pani szczérze, że byłoby to dla mnie przyczyną przykrości, gdyby się Lunia uczyła śpiewać, a do tego po włosku...

Nastąpiła chwilka przykrego milczenia; nie mogłam czegoś odrazu zdobyć się na odpowiedź.

— Obowiązkiem nauczycielki, rzekłam uroczyście, głosem spokojnym, jest stósować się, w takich względach do życzeń rodziców uczennicy.

— Ach! nie powiedziałam pani, rzekła hrabina już swobodnie i z całkiem innym wyrazem, z czém tu do pani przyszłam. Jestem bardzo szczęśliwą i chciałam to szczęście macierzyńskie wylać trochę w rozmowie serdecznéj.

— Co tak cieszy panią hrabinę?

— Odebraliśmy przed chwilą radośną dla nas wiadomość... syn nasz przyjeżdża... pisze z drogi i będzie tu za parę godzin. Jak zwykle pamiętny i uważny, uprzedza mnie, bo wie, że żywsze wrażenia, nawet przyjemne, szkodzą niedorzecznemu memu zdrowiu.

Uszczęśliwiona hrabina rzuciła się na ten nowy i przyjemniejszy przedmiot rozmowy, i była miłą i serdeczną jak zawsze. Gdy wyszła, zawołałam Lunię.

— Nie wiesz moje dziecko, rzekłam, że dziś przyjedzie twój stryj.

— Ach! jak to dobrze! zawołała dziewczynka. Ja kocham stryja tak, jak ciebie Maryniu, i prawie jestem pewną, że i stryj mnie kocha.

To zupełnie prawdopodobne, rzekłam z uśmiechem. Dla czegóżby cię nie miał kochać?

— Dla czego? rzekła dziewczynka, patrząc mi w oczy. Ja tego nie wiem. Dla czegóż babcia i dziadunio mnie nie kochają? Wszak ja im nic złego nie zrobiłam.

— To też kochają cię.

— O! nie, nie — rzekła Lunia energicznie. Ja to czuję... tu... rzekła wskazując serce. Dobrzy są dla mnie, ale nie kochają mnie wcale.

Starałam się wybić z głowy biednemu dziecku tę myśl boleśną, ale nadaremnie.

Wezwano nas na herbatę. Hrabia wyglądał jakoś mniéj krochmalnie, niż zwykle; uczucie ojcowskiego serca silniejszém było widać od uczucia przesadzonéj przyzwoitości. Hrabina zaś zrywała się co chwila, i biegła zajrzeć do pokojów syna, czy tam jeszcze czego nie brakuje. Nie długośmy siedzieli przy herbacianym stole, gdy się drzwi otworzyły, z tym trzaskiem wesołym, co miłego gościa oznajmia, równie niecierpliwego, jak czekanego niecierpliwie, i wpadł do salonu młody człowiek, czułym wykrzyknikiem powitany.

Serce mi rzewnie zabiło, gdy patrzałam z boku, wydziedziczona na wieki od słodkich wzruszeń rodzinnego uczucia, na tę scenę powitania.

Patrzyłam więc z rozrzewnieniem, któregobym się nie wstydziła przed najzimniejszym szydercą na młodego Olega P. u nóg rodziców klęczącego.

Po pierwszym wybuchu obustronnéj radości, Oleg się zwrócił do Luni, która stała przy nim na boku, i dopiero spostrzegł moją obecność, którą nie zauważał odrazu, co mnie nie zdziwiło ani obraziło wcale. Skłonił mi się z uszanowaniem człowieka dobrze wychowanego, i uściskał małą sierotkę z serdecznością nie

udaną, która dawała korzystne wyobrażenie o jego sercu.

Zasiedliśmy znów około stołu, i rozpoczęła się bardzo ożywiona rozmowa, której słuchałam z zajęciem mało się do niéj mieszając. Byłam ciekawą poznać egzemplarz młodzieży naszej, z kasty arystokratycznéj

Jest to, o ile mi się zdaje, egzemplarz korzystny, nie wiem tylko, czy wierny przedstawiciel reszty. Mogę tém sumienniéj zaszczycić go moją pochwałą, że ręczyć za to mogę, iż nie jestem bynajmniéj pod wpływem socjalnéj świetności. Dzięki Bogu i rozumnemu kierunkowi, jakiemu byłam poddaną, jestem tak daleką od płytkiego zachwytu blasków ziemskich, jak od żółciowéj zazdrości.

Jako kobietę, możnaby mnie posądzić o uleganie wpływowi wdzięku powierzchowności; ale hrabia Oleg nie jest pięknym, jest zaledwie tém co określa, (nie wiele określający) wyraz p r z y s t o j n y. Ma pozór zdrowia, rysy szlachetne, ujmujące wyrazem siły moralnéj i łagodności, jaką ma prawdziwa siła. Nie wiem jednak, czy go nie przechwaliłam po pierwszém korzystném wrażeniu, które nie zawsze bywa prawdomowném. To się okaże.

Słuchałam więc z zajęciem opowiadań hrabiego Olega o podróży jego, i zdań o ludziach i rzeczach. Zdania te, czasem były zupełnie zgodne z mojém własném, o tychże ludziach i rzeczach, wyobrażeniem, czasem nieco różniące się. Ale co mnie wielce zdziwiło, to w ogóle, jakaś barwa l i b e r a l i z m u, owego strasznego upiora, który przerażał tak hrabinę i tęższą jeszcze maskę lodu wywoływał na oblicze hrabiego Adama. Podziwiałam sztukę miłości synowskiéj, która tak owijała uszanowaniem i czcią swą serdeczną dla rodziców te kolące przedmioty, że jakoś nie kaleczyły i nie raziły wcale. Słuchałam i nie wierzyłam własnym uszom. (C. d. n.)

Jagiellonki polskie w 16. w.

(TOM II.)

przez ***M. Przezdzieckiego.***

(patrz Nra 6, 7 i 8.)

Zakończyliśmy przegląd pierwszego tomu żywotem królowéj „Barbary Radziwiłłównéj“. Jak naraz dla uplastycznienia tych dziejów wystawił właśnie p. M a t e j k o nowy swój obraz. Przedstawia on komnatę w pałacu Radziwiłłów w Wilnie, a przez ogromne okno otwarty widok na znany nam park. Jest to otoczenie czarodziejskie — zaciszne ustronie zasłonila już mglistym welonem pogodna letnia noc; drzewa i klomby majaczeją na pół wyraźnie; tajemnicze ulice ciągną się gdzieś daleko, na siny staw wypłynął łabędź, na szafirowém niebie zawisły urocze gwiazdy; a w tém magiczném oświetleniu układają się przeciągłe cienie w głębi wody. Pokój i rozkoszna woń nocy zawiała dwoje kochanków w komnacie. Zygmunt przy lutni śpiewał jakąś włoską zapewne romanzę — Barbara słuchała trzymając bukiecik róż. — Miłosnym smutkiem przepełniły się im serca, porzucili lutnię i kwiaty, aby w gorącym uścisku utulić się wzajemnie. Ciężkie jakieś przeczucie zatrwożyło oblicze króla, wypatrzył oczy gdzieś w przyszłość niepewną, grożącą oporem narodu, zawziętością matki Bony, która z portretu złowrogo na nich spogląda. On drętwieje na myśl, że mu wydrą może szczęście jego; może śmierć, trucizna, któréj się zawsze obawiał.... Wpośród zachwytu serdecznego ta chmura czarna — wielki to tragiczny efekt, jaki sprawia ten wypieszczony obraz — tak, że o wadach w kompozycyi aż żal mówić.... A są dwie wady: nieuzasadnione oświetlenie komnaty i osób, i za mało eteryczności w postaci Barbary — gdyż bądź co bądź, choćby wbrew portretowéj prawdzie, powinna być Barbara taką, aby każdy widz mógł odczuć i zrozumieć wielkie uczucie Zygmunta — artysta winien to zdziałać za pomocą czarów sztuki.

Wiadomo jak się sprawdziły obawy króla. Śmierć Barbary zaciążyła na całém dalszém jego życiu, a doświadczona w téj sprawie złość ludzi, a zwłaszcza matki, zraziła go zupełnie do świata, oddziałała szkodliwie na jego charakter. Lekkość zaszczepiona przez miękkie wychowanie obudziła się w nim. Wydaje się, jakby puścił luzem życie nie wierząc i nie spodziewając się więcéj szczęścia.

Pamięć Barbary zachowywał wiernie, jak to widać i z następującego szczegółu w liście do szwagra: „Pisał nam T. M. jeszcze o jakimści długu Królowéj JMci, w którym długu miał T. M. łańcuch położyć pospołu z czaprakami u K o n r a t a. A tak My mieliśmy Jéj KMci wszystkie długi spisane na regestrzech i popłaciciśmy wszystkie kazali; k t ó r y c h i ś c i e b y ł o n i e m a ł o“...

Radziwiłłowie pozostali najzaufańszymi jego powiernikami, o nich téż oparło się swatanie króla, boć oczywiście było to w interesie dynastyi i kraju, aby pozostawił potomstwo.

Zajmowała się tém gorliwie Bona i powziąwszy wiadomość od Montiusa Włocha o r u m o r z e, jakoby król siostrę króla francuskiego miał pojąć, wskazała mu, żeby się raczéj w téj mierze ku cesarzowi obrócić raczył. Było to prawie zaraz po śmierci Barbary, więc król odpowiedział jéj: „iż nie myślimy do tego czasu nic o ożenieniu; bo w takowéj s i e r ś c i, w któréj jesteśmy, trudno o tém myśleć; a téż nie po temu czasy dzisiejsze są. A to k'temu, iżeśmy mieli dwie m a ł ż o n c e, które iż tak prędko zeszły, acz nie My jesteśmy tego przyczyną; ale jednak ci są, którzy do tego przy-

czynę dali, iż obiedwie przedwcześnie z tego świata zeszły. Przeto oględując się na to, aby i trzeciéj k'temu nie przyszło, nie chcemy więcéj innym tego życzyć, co się za przyczyną niektórych tym dwiema małżonkom naszym stało; o czém nie tylko tu, ale i indziéj w ludzkich uszu dobrze brzmi. — Tośmy tak krótko na to wskazanie odpowiedzieli, więc nie wiemy, jak to połknie"....

Niezadługo jednak ponowiły się swaty z innéj strony, a i król nie miał nic przeciw temu. Posła polskiego przy dworze wiedeńskim spotkała rzecz od Króla JMci rzymskiego, iżby rad Królowi polskiemu w małżeństwo (drugą) dziewkę swą dał. I pisze Zygmunt: „...że my co rychle ożenić się wolę mamy; acześmy na tém miejscu, jako Nas teraz spotkało iście nie myśleli; wszakoż iż to już podobno tak boskie przejrzenie jest, jużeśmy k'temu umysł nasz skłonili, że dziewkę Króla JMci rzymskiego (Katarzynę), wdowę księżnę mantuańską, która tylko pięć niedziel za mężem była, w małżeństwo weźmiemy.... I nie zważając już ani na powinowactwo przez pierwszą żonę, ani na obawę familijnéj w rodzie austrjackim choroby, myślano już obustronnie tylko o przyspieszeniu ślubu, zawsze za jednozgodném wszystkich astrologów zdaniem. Odwlekł się termin jeszcze z powodu uporczywéj febry króla, aż dopiero po zastępczém zaślubieniu księżnéj w Wiedniu przez marszałka Radziwiłła, odbyła wjazd do Krakowa 29 lipca 1552 r.

Wobec licznych gości, posłów, całéj rodziny królewskiéj odbyły się uroczystości i koronacja nadzwyczaj świetnie z gonitwami, koncertami, tańcami i maszkarami. Muzyka kwitnęła znakomicie na dworze polskim. Kantatę napisaną przez Wacława Szamotulskiego muzyka królewskiego, wykonał doskonale p. Wierbkowski, mistrz śpiewaków królewskich. Ciekawy też jest szczegół z ówczesnego trybu rzeczy, że sam król osobnym listem pożyczał od Radziwiłła z Wilna ozdoby do wesela potrzebne, a mianowicie białe husarskie kutasy do koni, po weselu takowe odesłać obiecując.

Na wesele zjechała cała rodzina królewska, a więc Bona z trzema córkami Zofią, Anną, Katarzyną i Izabella, była królowa węgierska z 13-letnim synem Janem Zapolią.

Dawno już jakeśmy stracili z oczu królewne sieroty, zostawione na opiekę matki. Nie miały one jakoś szczęścia, lubo nie ustawały starania, aby je wydać za mąż.

Kiedy je odumarł ojciec stary król Zygmunt, liczyła już wtedy najstarsza Zofia lat 26, Anna 25, najmłodsza Katarzyna 22. Pogrzeb ojca o mało nie wyswatał dwóch starszych królewien. Z pomiędzy przybyłych na tę uroczystość książąt, odezwali się o ich rękę Albrecht książę pruski, i Joachim brandeburgski (pasierb Jadwigi starszéj siostry Zygm. Aug. — o czém powyżéj). Nie zdało się jednak senatorom wydawać królewien za książąt, którzy wiarę luterską przyjęli byli.... Gdy więc to staranie nie doszło, królowa Bona odwiozła je do ks. mazowieckiego, na którém oparta była oprawa jéj posagu.

Ztamtąd zostawały one z bratem Zyg. Augustem tylko w listownéj komunikacyi, do czego wedle obyczaju święta i pewne uroczystości obowiązywały. Zobaczyli się dopiero znowu na trzeciém weselu króla.

Bona troszczyła się już mocno o to, że nie wychodzą za mąż, gdy najmłodsza Katarzyna skończyła już lat 25, a najstarsza Zofia dochodziła 30tu. Już w styczniu tego samego roku 1552 toczyła się o to rzecz między królem a Boną, gdy się w Radomiu zjechali — co król tak w liście opisuje:

....„Potém około królewien Ich M. sióstr Naszych „poczęła mówić, abyśmy myśleli, żeby za męże mogły „być tém rychléj wydane; przypominając, iż czasy wielkie siostrom Naszym przyszły; przeczby to nic nie „mieszkając obmyśliwać potrzeba." — Myśmy na to odpowiedzieli, iż to znamy, że czas temu wielki jest, i mybyśmy radzi do tego pracy i pilności przyłożyli, byśmy rozumieli gdzie a jako? — Powiedziała potém: „Iżem ja o tych rzeczach traktowała z księciem prus„kiém i o témem wszystkiém W. K. M. znać dawała, „żądając, aby także W. K. M. w tém książę pruskie „napominał; i posłałam była około tego odpowiedź ksią„żęcia pruskiego W. K. M. przez Lasockiego; i tośmy „téż wskazali, że tychtam książąt mała majętność jest, „za które miały być rajone i t. d." Około tego było długo mowy. — Myśmy na to odpowiedzieli, iż sami ustnie z książęciem pruskiém o témeśmy mówili; ale jako J. M. w téj mierze zimno odpowiedź dał; także téż i z Nami bardzo zimno o tém mówił. „A Nam „téż także się tamtych książąt majętność, o którycheś „W. M. przez Lasockiego wskazała, mała widziała; „przeto nie było już w tamtę stronę o czém myśleć". — Powiedziała potém: „Teraz królowi szwedzkiemu żona „umarła, i jest wdowcem; a tak mogłoby się przez „Hanusza von Werden*), albo przez którego in„nego kupca gdańskiego to podać, około któréj siostry „Naszéj". — Myśmy to tak na dalszą deliberację, zwłaszcza aż do sejmu odłożyli. — Zasię powiedziała, iż dwa z Włoch panowie, jeden niejakie jeno książę włoskie, a drugi, pan rzymski zacnéj famili, podobnoby Ich sobie za żony mieć chcieli; jeno coby się Nam w tém zdało? a jeślibyśmy k'temu przyzwolić chcieli? — My także jako i wyżéj, tośmy na sejm a na dalszą deliberację Naszą odłożyli. — Zasię mówiła: „Iż W. M.

---

*) Bogaty kupiec gdański, u którego Zygmunt August stanął gospodą, gdy w czerwcu tegoż roku Gdańsk odwiedził.

„tak wspominać raczysz, iżby były siostry Nasze dawno za męże iść mogły, bymby ja była chciała, albo „tego nie zwłóczyła". — Powiedzieliśmy Jéj M. na to: „iż tak jest, iż siostry Nasze mogły być dawno *nuptui* „elokowane (w małżeństwie postanowione), by była „W. M. chciała. Traffował się i książę bawarski i „inni. Gdyśmy około tego W. M. pisywali, o to „W. M. prosząc i napominając: W. M. jako takowe pisanie wdzięcznie od Nas przyjmowala, to dobrze pamiętamy. Teraz W. M. nalegasz, abyśmy się o to starali, a W. M. na on czas nie chciała, gdyby czas po „temu dobrze pogodniejszy był". — Powiedziała na to bardzo tempo, że to tak nie mogło być, owa i to i owo tylko k'temu mówiąc; a to przyłożyła nakoniec: „iż siostry W. K. M. małe posagi mają, nie tak „jako inne. Ale tylko W. K. M. staraj się, chociaż „małe posagi, tedy my to ze strony swéj opatrzymy". — Wszakoż nic jaśnie nie powiedziała, jakoby wielką sumą pieniędzy posagi poprawić miała. Około tego długa i niemała rozmowa była, jeno My to tak *summarie* (pokrótce) T. M. wypisujemy".

Starania te spełzły na niczém — aż dopiero na weselu odsłoniły się nowe widoki. „Były na tém weselu turnieje, gonitwy na zamku i w rynku i maszkary kosztowne. W tych maszkarach arcyksiążę Ferdynand przyniósł mumszanc królewnie Katarzynie i znać to było z wielu rzeczy, iż ku niéj był serce przykłonił. Siostra jego, obecnie królowa polska popierała to małżeństwo u króla, ale król młodszéj przed starszemi dać nie chciał, a nadto na Ferdynanda srogo się obraził. Podawano tego różne powody, uchybienia w ceremoniale i t. p. Lecz prawdziwa przyczyna była ta, że król wiedział dobrze, że arcyksiążę o rękę królewnéj prosić nie będzie, bo nie może, a tylko w lekkomyślne zaloty się bawi — co króla obrażało. Arcyksiążę był bowiem od lat pięciu potajemnie zaślubiony z piękną Filipiną Welser, córką rajcy miejskiego z Augsburga, które to małżeństwo dopiero po 12tu latach za ważne uznaném zostało.

Tak więc i teraz swatanie królewien nie doszło i Bona wróciła z niemi do Warszawy. (C. d. n.)

Kocham i nie kocham.

Kocham, kocham ja świat cały,
A najwięcéj już ojczyznę.
Kocham wiejski domek mały,
Czyn szlachetny, — kocham bliznę
Naszéj drogiéj Polski synów,
Siwą głowę wśród wawrzynów.

Kocham złote sny młodości,
I marzenia o wolności,
Kocham przeszłość mego kraju,
Jego świetność z jego chwałą,
O niéj marzę jak o raju,
W niéj zatapiam duszę całą.

Kocham lud nasz, lud ubogi,
On nad wszystko jest mi drogi,
Kocham przyszłość tego ludu,
Jego pracę i cierpienia;
Kocham lud ten co śród trudu
Takie rzewne nuci pienia.

I tych kocham co pracują
Nad poprawą jego doli,
Co swych trudów nie żałują
By wydźwignąć go z niedoli.

Kocham wieszczów z wielką sławą,
Kocham każdą dumkę łzawą.
I to wszystko, co godnego
Na tym świecie serca mego.

Lecz nie kocham ja jednego,
Taka miłość to czcza mara:
Ona sprawia tyle złego,
To prawdziwa Boża kara.

To raz rani — to znów goi,
To przynęca — to odpycha,
To kaleczy — to łzy koi,
Dzisiaj groźna — jutro cicha.

Nagle wzniesie cię w błękity,
W świat nieznany — wymarzony,
Pełen szczęścia i słodyczy
Ty w nie wierzysz zaślepiony!

Spadniesz z nieba, by w niedoli
Pędzić potém całe życie,
Aby poznać to co boli,
Aby tęsknić, płakać skrycie.

Więc nie oddam serca mego,
O nie oddam dla jednego; —
Lecz tym czuciom dam je rada,
W których człowiek nie upada,
Które duszy lot nie zwiną,
I z latami nie przeminą.

Helena J. —

OBRAZY I OBRAZKI

z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

Profesor reflektował nas, że nie wypada tak wszystko pochłaniać, że należy choć dla decorum zostawić coś w papierze.

— Zostaw profesór swoją porcją — proponował Bolek.

Rozumie się, że się wniosek nie utrzymał i ledwie ciasta i kurczątka zdołaliśmy uratować dla pań.

Już papierami jak serwetkami poczęliśmy obcierać usta, gdy naraz od strony lasu wypadł z krzaków galopem nizki koń góralski, na nim jakiś wystraszony człowiek bez kapelusza, trzęsący się i tracący równowagę za każdym podskokiem konia.

— Gwałtu, ratunku — wołał nieszczęśliwy jeździec.

— Panowie, to Ksawerek.

Pospieszyliśmy na pomoc biednemu Ksawerkowi, z którym przyroda tatrzańska tak nielitościwie się obchodziła, zatrzymaliśmy konia i zdjęliśmy z niego jeźdźca.

— Cóż się stało?

— Zaraz, zaraz — wszystko wam opowiem; tylko tchu trochę nabiorę — oj boli.

— Gdzie.

— I tu i tu — wszędzie.

— Zkądżeś się tu wziął na koniu; miałeś siąść na wózek.

— Zkąd? Ot zwyczajnie fantazja. Dziwno mi się jakoś wydawało być tak blisko tego wsławionego morskiego oka i nie widzieć go. Właśnie jakby na nieszczęście przechodzi góral z koniem. Myślę sobie: doskonale, siądę na konia, potargany surdut przykryję guńką góralską i pojadę za wami. Będzie to i romantycznie i wygodnie. Siadam tedy na konia — koń ani rusz, co chwila skręca to pod drzewo, to w krzaki, które mi twarz podrapały okropnie. Wreszcie góral wziął uzdę i prowadził konia; a mnie tymczasem licho podkusiło zarzucić guńkę romantycznie przez plecy. Koń się zląkł, gdym mu nagle guńką mignął przed oczami, jak się zerwie, jak pójdzie przez krzaki, zarośla, wodę, góry, doliny. Ja w braku uzdy chwyciłem się grzywy i ciągnę co sił starczy; ale gdzie tam — warjat leciał ze mną jak opętany. Zgubiłem kapelusz, laskę, potłukłem się — i oto taka korzyść z romantycznéj wycieczki. Niech was licho porwie z waszemi górami.

Uspokoiliśmy Ksawerka, poprawili ubranie o ile się dało i wsadzili na wóz dla wypoczynku.

— Jedliście wy już co — rzekł po chwili żałosnym głosem — bo ja prócz kawałka chleba, który dostałem od furmana, nic w ustach nie miałem.

Trzeba więc było naruszyć kurczęta i nakarmić niemi głodnego, zostawiliśmy mu trochę wina na skrzepienie i poszliśmy do pań.

Po wspaniałych, a groźnych widokach doliny pięciu stawów Morskie oko nie robi tego wrażenia, jakiego się spodziewamy, nie odpowiada wcale téj reputacyi, jaką mu turyści zrobili; bo najprzód jest o wiele mniejsze od wielkiego stawu, wynosi bowiem tylko 57 mórg i 534 sążni kwadratowych, podczas, gdy tamten ma przeszło mórg 60; powtóre: ogromne skały, jakie je otaczają Mięguszowska turnia i Mnich złudnie pomniejszają jego objętość. Trzeba dopiero wypłynąć na środek, aby nam zaimponował ten obszar wody rozlany wśród skał na wysokości 4500 stóp nad powierzchnią morza. Woda jeziora jest szczególniéj po brzegach tak przejrzysta, że za jéj seledynową szybą widać wyraźnie dno zasypane płytami kamieni różowych, żółtawych, ciemnych; daléj ku środkowi w miarę powiększania się głębokości woda przechodzi w ciemno-szafirową barwę. Woda jest tak zimna, że wyjąwszy pstrągów, żadna ryba w niéj żyć nie może; ztąd powieści pierwszych turystów o potwornych kształtach ryb, zapełniających te głębiny, do legend policzyć należy. Sama nazwa Morskie oko (lub Rybie, jak je zowią górale) równie na fałszywéj urosła podstawie.

Nierównie dzikszą, posępniejszą i bardziéj imponującą fizognomją ma czarny staw, wznoszący się nad Morskiém okiem w wysokości 500 stóp. Szczerbate, czarne skały otaczające jak wysoki mur to jezioro i krzyż żelazny zatknięty u wejścia przypominają poczęści starożytne Coloseum i równą grozą przejmują. I tam i tutaj krzyż zapanował nad martwą, głuchą ciszą. Z czarnego stawu spada potok, którego białe wody z daleka wydają się jak rozlane wapno, którém czarny mur pobryzgano. Nie słychać ani szumu wody, ani widać jéj ruchu. Potok ten wypływa potem z gór pod nazwą Białki. W miejscu, w którém staliśmy leżały wśród trawy i kosodrzewiny zbutwiałe resztki rozwalonego szałasu. Kiedyś był on miłym odpoczynkiem i schronieniem dla podróżnych; dziś pozbawiono ich téj wygody, a to głównie z tego powodu, że dwór przeszkadzał gromadzie, a gromada dworowi w wybudowaniu nowego, procesując się przez lat kilkadziesiąt o prawo własności polany i lasów. W końcu długi ten proces skończył się wygraną gromady. Obok rozwalonego szałasu przewodnicy stawiali właśnie mały namiot z gałęzi dla ks. Janoty i prof. Nowickiego, którzy tu noc przepędzić zamierzali, chcąc jutro dalsze czynić tutaj obserwacje i poszukiwania.

— Pan znasz profesora N. — odezwałem się do Lolusia — to także zoolog.

— Słyszałem o tém od górala, ale panie, na co się to zda, — on wszystkie owady studjuje. A dziś panie tylko specjalność — tylko specjalność — dziś panie na

Zachodzie można być np. szewcem, nie mając wyobrażenia, jak but wygląda; robi się same obcasy lub kołki — i basta. I ludzkość panie postępuje.

— Do doskonałości maszyn. Zapewne można być także zoologiem, nie znając nic, tylko skrzydełka owadów, lub ich nóżki i gotów jestem zostać zoologiem.

Loluś nie uważał widać za stósowne prowadzić dalej polemiki z takim jak ja ignorantem, bo urwał rozmowę. Ja tymczasem zbliżyłem się do Paulinki, która siedziała na wale, mając główkę opartą na rączkach i patrząc na szczyty skał ozłocone zachodzącém słońcem.

— O czém pani myśli? spytałem.

— Patrząc na tego zakapturzonego mnicha skamieniałego myślałam sobie, zkąd lud wysnuł te piękne legendy swoje?

— Nie myśl pani, żeby to były igraszki jego fantazyi, każda legenda ma swoje źródło w życiu, w jakimś wypadku, który odległość czasu zaćmiła i zakryła. Podanie o mnichach odnosi się do czasu, kiedy klasztory rozporządzały tą ziemią, a legendy o ukrytych skarbach nie są także bez podstawy; kopalnie rudy złotéj i srebrnéj tutaj były; nawet teraz nie wątpię, że się znajdują w niższych pagórkach tatrzańskich; ale w tak skąpéj ilości, że dobywanie ich o wiele więcéj kosztuje. Są ludzie, których teraz jeszcze marzenie o ukrytych w ziemi żyłach złota prześladuje; błyszczące kamienie, odszukane doły i legendy ludowe podsycają ich nadzieję. Sam znałem i widziałem jednego człowieka, który niezmordowanie włóczył się po tych górach z małym bratem swoim, dźwigając kilofy i inne narzędzia górnicze i szukał złota. Z każdéj takiéj wycieczki wracał ponury, kwaśny i zmęczony, ale mimo to nie rozstawał się z marzeniami swojemi: wierzył, że Tatry obfitują w złoto, tylko, że mu zbywa na wiadomościach potrzebnych do umiejętnego szukania; wyséła więc brata swego do szkół, czeka cierpliwie lata całe na spełnienie swego marzenia, ostatni grosz łoży na utrzymanie brata w szkołach, następnie po ukończeniu klas gimnazjalnych wyséła go do szkoły górniczéj do Szemnitz i ledwie ten trochę poduczył się górnictwa, wyprawia się z nim znowu na zwiady. Tą razą młodszy brat nie prowadził go już między wysokie i dzikie skały, ale robił poszukiwania w niższych pokładach i w końcu rozpoczęli kopanie w okolicach Łącka. Natrafili rzeczywiście na jakąś małą żyłę rudy, która jednak tak mało procentowała i tak wielkie koszta pociągała za sobą, że zmartwiony stary zarzucić musiał robotę. Brat wrócił do Szemnitz, a on pocieszał się przynajmniéj tą myślą, że nie bez podstawy utrzymywał, iż złoto w Tatrach istnieje. Gdyby temu człowiekowi udało się rzeczywiście odszukać obfitsze pokłady, historja zapisałaby miejsce jego urodzenia, opisywałaby drobne szczegółki jego życia i stawiałaby go na wzór ludziom co może wytrwałość i praca. Ponieważ mu się nie udało, nazwano go warjatem; a wytrwałość, która lata umiała czekać i pracować — bzikiem.

— Panie, panie —' zawołała w téj chwili panna Felicja — proszę na chwilkę — mam się pana o coś poradzić. My ludzie pióra powinniśmy się wspierać nawzajem. Powiedz mi pan, do czegobyś porównał te ogromne masy skał z drugiéj strony jeziora; mnie one przypominają tytanów; ale tego porównania użyłam już na stronnicy trzydziestéj, a w poezyi winna być rozmaitość.

— To niech ich pani do niczego nie porówna.

— Jakto? A czémże byłby opis bez pięknych porównań. Uważ pan, jak to podnosi rzecz. Tu zaczęła czytać, a raczéj deklamować: „Piętrzą się góry jedne na drugich, jak Tytany szturmujące niebo kamieniami". To mi się udało; ale tutaj do czego porównać te skały, nie wiem.

— Niech je pani porówna do kamieni, które rzucane przez słabszych Tytanów nie doleciały do nieba i spadły nad Morskie oko.

— Jakież prozaiczne porównanie.

— Ale będzie prawdziwe, jeżeli pani kamienie porównasz z kamieniami.

— Ach, patrz Felunciu — czy widzisz tam na górze krzyż stoi — godło wiary — zawołała mama. Szkoda, że tu nie ma doktora, jakby on się cieszył, że i w tych dzikich górach godło zbawienia wstęp znalazło. Powiadam panu — ciągnęła zwracając się do mnie, co to za religjant.

— Apostoł wiary — poprawiła córka.

— Codzień go pan regularnie zobaczysz w kościele z książką w ręku godzinami całemi nabożnie i przykładnie się modlącego; totéż panie nasze widząc to, chętnie mu sie oddają w kurację.

— Więc ten pan używa książki do nabożeństwa zamiast listu rekomendacyjnego.

— Ach jaki z pana ateusz.

— Że nie wierzę w doktora? spytałem z uśmiechem.

— W co wy panowie wierzycie — odezwała się natchniona Felicja — przewodniczycie ludowi, nie mając wiary w nic, nie kochając nic.

— Owszem pani — my wierzymy w pracę i prawdę, gdzie tego nie ma, tam jest....

— Noc, już noc — zawołał Dezydery; czas wracać.

Posiadaliśmy więc na wózki. Paulinka z ciotką i kuzynkiem jechali przodem. Za niemi pani prezesina z córką — my zakończali orszak. Usłużna noc zapaliła coprędzéj księżycową lampę i przyświecała nam w drodze, prowadzącéj przez las. Drogi téj opisać wam nie mogę, dla téj prostéj przyczyny, że znużenie zbyt wcześnie zamknęło mi oczy. Ciekawych odsélam do notatek panny Felicyi; znajdą tam pewnie wiele westchnień

do białego księżyca, co srebrzystemi promieniami przedzierał się przez czarne drzew gałęzie i rzucał się jak kochanek do nóg poetki; wiele szczytnych porównań rzeki Białki, która skarbowana w kryształy i posrebrzona księżycem ślizgała się wśród posępnych lasów jak lśniący węgórz przez ciemne wód przestwory itd. itd. Ja raz tylko miałem sposobność podziwiania tych uroków tajemniczéj nocy. Było to niedaleko za polaną Łysą; mocne szturchnięcie wózka i nachylenie przebudziło mnie; spojrzałem koło siebie i zdawało mi się, że jestem w jakimś angielskim ogrodzie — las ciągnął się w kształcie ogrodowych alei — w środku srebrzystéj rzeki wznosiła się wysepka z piękną grupą świerków, a w dali przez drzewa przeglądała zielona łąka polany; brakowało tylko łabędzi, aby złudzenie było zupełne. Turkot wózków i śpiewy górali przypomniały mi, że jestem w Tatrach; koledzy moi drzemali także i kiwaniem głów wybijali pokłony bożkowi snu, to mnie zachęciło do powtórnéj drzemki — usnąłem. I śniło mi się — ale co? tego dalibóg nie pamiętam.

V.

Po kilkodniowéj niebytności wracałem znowu do mojéj siedziby za rzekę, było to już późnym wieczorem, dla tego zdziwiłem się nie mało, zobaczywszy światło w okienkach Tereskowéj chaty. Jeszcze więcéj się zdziwiłem, gdy zbliżywszy się zastałem drzwi zaparte i żadnego wewnątrz ruchu, ani gwaru. Podszedłem pod okno i w ramach zabrudzonych szybek dziwny obraz przedstawił się moim oczom. Na środku izby leżało coś nakształt pudła lub trumny, w trumnie leżał siny trupek z rozpuszczonemi jasnemi włosami, w zgrzebnéj koszulce i niebieskiéj spódniczce, z pod któréj wystawały bose nóżki. Nie daleko od trumny na przypiecku skwierczała tłustość w dopalającéj się lampce, która migotliwy, przelotny rzucała blask na twarz umarłéj dziewczynki. Po czerwonych koralikach i krzyżyku, który miała w zaciśniętych rączkach poznałem, że to była Kasia, pieszczotka moja i ludowa śpiewaczka moja. Ileż to pieśni téj małéj spisałem podsłuchując, jak niemi braciszka swego w sen kołysała lub rozbawić usiłowała. Pamiętam, jak raz przywołałem ją do siebie, podarowałem jéj czarny, drewniany krzyżyk, z posrebranym Chrystusem i mówiłem, aby mi za to co zaśpiewała. Dziewczyniątko położyło mi wtedy krzyżyk na kolanach i odrzekło z dziwną prostotą:

— Kasia nie będzie śpiewać, bo ona tylko wtedy śpiewa, jak się jéj na śpiew zbierze.

Zdziwiłem się tą odpowiedzią tak dojrzałą a głęboką; w téj wczesnéj dojrzałości było coś chorobliwego, co smutne robiło wrażenie i smutne budziło przeczucia. Dziś ustka śpiewaczki zamknęły się na zawsze, a czarny krzyżyk miał dziewczęciu towarzyszyć do grobu. Mały jéj braciszek na czworakach czołgał się koło trumny i szarpał ją rączkami to za rękę, to za spódnicę budząc ją. Ojciec siedział na ławie i podparłszy głowę rękami drzemał; Tereska spała mocno na łóżku. Cichy ten, a smutny obraz nie prędko mi wyjdzie z pamięci.

Zapukałem w okno; góral zbudził się i otworzył mi drzwi.

— Co się tu stało? spytałem.

— A nic. Kaśka umarła — odrzekł mi spokojnie.

— Kiedyż?

— Wczoraj z wieczora.

Wszedłem do izby — i przesiedziałem jakiś czas przy zmarłém dziewczęciu; potém rzuciłem do trumienki pęk górskich kwiatów, którem przyniósł z wycieczek i poszedłem do siebie.

Tereska nie słyszała tego wszystkiego — spała.

Dziwiła mnie ta obojętność rodziców na śmierć dziecka, która na mnie obcego robiła wrażenie. Późniéj miałem sposobność przekonać się, że i dzieci równie obojętnie, a nawet może daleko obojętniéj przyjmują śmierć rodziców. To tylko mnie pocieszało, że nie tyle brak miłości rodzinnéj jest powodem téj obojętności, ile silna wiara w życie przyszłe i małe przywiązanie do życia, które dla biednego ludu nie ma wcale tego powabu, jaki ma dla tych, co mogą i umieją go używać. Góral nie żyje, ale spycha życie, zbywa je czém bądź; nawet zamożniejsi nie wiele łożą na swoje przyjemności. Nie doje, nie dopije, a wszystkie marzenia swoje o szczęściu umieszcza za grobem. Jest to rodzaj ascetyzmu, który nie wiem komu przypisać, czy wpływowi księży, czy ich usposobieniu.

Po drogach wszędzie pełno spotkasz krzyżów, figur, kapliczek; lud przechodzący wita cię słowem bożém; niedzielę i święta góral prawie wyłącznie przesiedzi w kościele; z zajęciem słucha księdza mówiącego mu o szczęściu pozagrobowém i ostatni grosz da temu księdzu na mszą, na ofiarę, która ma mu zapewnić to szczęście. Przy takiém zapatrzeniu się w zaświat życie doczesne traci u niego na wartości, śmierć nie przestrasza go, jest ona tylko przestąpieniem progu — a doktór najwyraźniéj mu zawadza.

Tak zapatrując się na górali, będziemy ich mieli w podobnych okolicznościach za wytłómaczonych; bez tego klucza postępowanie ich nieraz obrażaćby musiało dotkliwie szlachetniejsze uczucia nasze. Jako przykład téj ich obojętności na śmierć, przytoczę tutaj dwa wypadki:

Ojciec śmiertelnie chory dogorywał na łóżku, spokojny już, bo opatrzony sakramentami; przy nim siedział syn strugając drzewka, drugi zaś starszy siedział przed chatą naprawiając kerpce. Stary z osłabienia usnął — syn z przed chaty zawołał na młodszego brata, by spytał się ojca, gdzie podział szydło. Zbudzony sta-

ruszek nie mógł sobie przypomnieć gdzie je wbił przed chorobą. — Nastała mała pauza. Po chwili ów młodszy brat z chaty odzywa się:

— Franek!

— Je co?

— Tatuś oho!

— Może umarł?

— A juści.

— A pedział (powiedział) o szydle?

— A nie.

— A, o kimże ta trzysta myślał.

Śmierć więc ojca dla tych synów była, jakby wyjściem jego na jarmark lub coś podobnego: Są to rażące obrazy, ale charakterystyczne.

Jeszcze drugi podobny.

Było to w Szaflarach. Kobieta raz z lamentem przybiegła do mego mieszkania prosząc o kawałek papieru, bo umierający mąż chce ostatnią wolę podyktować; gdyż, jak mówiła, do wieczora ledwie dociągnie. — Za godzinę wyszedłszy na przechadzkę, spotkałem też samą kobietę idącą z konewkami po wodę, już zupełnie uspokojoną.

— A cóż? — spytałem — waszemu się polepszyło.

— Kajta paniczu — już gotów i wieczora nie czekał — rzekła i poszła dalej, jakby nic nie zaszło, zostawiając mnie w zdumieniu a nawet oburzeniu.

Ale jeżeli śmierć jest dla górala małoważną rzeczą, za to do pogrzebu wielką przywiązują wagę. Na oddanie ostatniéj posługi schodzą się nie tylko krewni, ale i wszyscy znajomi a nawet nieznajomi w świątecznych szatach; rodzina zmarłego nie szczędzi grosza na wyprowadzenie „uczciwego pogrzebu“, który głównie zasadza się na tém, aby zmarły mógł stać w kościele, aby msza żałobna za niego się odbyła, lub przynajmniéj, aby ksiądz wyszedł naprzeciw ciału do najbliższéj figury i pokropił trumnę święconą wodą.

Rozumie się, że pogrzeb maléj Kasi z mniejszą odbył się paradą. Parobczak jeden wziął trumienkę na barki i zaniósł ją przed kościół, gdzie ją ksiądz pokropił swięconą wodą — a potém zaniesiono trumnę na cmentarz. Kilku gospodarzy i kilkanaście kobiet towarzyszyło zmarłéj do grobu. Ranek był pochmurny, wilgotny — mgły zakryły zupełnie góry. Pochowano dziewczynkę pod ciemnym świerkiem, dzwonek kościelny zadzwonił jéj pogrzebową piosnkę; ludzie uklękli do pacierza i tak skończyła się cała historja.

Potém pociągnęli rodzice krewnych na stypę do karczmy — a ja poszedłem pożegnać się z towarzyszkami naszych wycieczek, które jutro miały wyjechać do Szmeksu. Po drodze wstąpiłem do moich kolegów. Zastałem Ksawerka siedzącego obok swéj gosposi i dającego jéj instrukcje łatania resztek jego ubrania, aby miał w czém wrócić do domu. Baba z pomocą grubéj igły kojarzyła rozlatujące się strzępy w jaką taką całość. Profesór siedział przed zwierciadłem i wiązał krawat; w twarzy jego i tak już poważnéj widziałem jakąś niezwykłą powagę i zamyślenie.

— No, panowie, ja już gotowy — rzekł wdziawszy czarny surdut.

— Dlaczegoż w takiéj gali? — spytałem.

— Niedługo się dowiecie.

Więcéj ani słowa nie podobna było od niego wydusić. Poszliśmy więc.

Paulinka siedziała przed domem z książką w ręku. Profesór podał jéj uroczyście rękę i potém zaraz wszedł do stancyi, gdzie oprócz cioci znajdowała się pani Pipczyńska i jéj córka.

— Patrz pan — mówiła Paulinka — co się stało z naszemi górami — znikły, jakby je czarownica zaklęła. Ani śladu po nich, każdyby przysiągł, że za tą mgłą nic już nie ma, prócz nieba.

— Jest to rodzaj żałobnéj zasłony, jaką góry zwykły kłaść po odjeżdżających.

— To bardzo zła przywyczka. Wolałabym je widzieć uśmiechające się, wesołe, oświecone jasném słońcem, aby takiemi zostały już na zawsze w mojéj pamięci.

— Może usłuchają pani; bo oto niebo przecierać się zaczyna i szczyt Gewontu jak Korab Noego unosi się na fali obłoków. (C. d. n.)

*** W niedzielę odbyło się zebranie, na którém zawiązano filją **towarzystwa pedagogicznego** i wybrano wydział filii. Nie wiemy czyja w tém wina, że w sprawie tak ważnéj i tak popularnéj wzięło udział zaledwo koło 70 osób, samych nauczycieli. Ogół téj inteligencyi, która ochotnie zaraz z początku byłaby przystąpiła do współudziału, nie wiedział wcale o warunkach przystąpienia, ani kto ma prawo przystąpić i kto ma prawo głosu na zebraniu. Pensjonaty prywatne bardzo mało, a pensyjonaty żeńskie wcale nie były zastąpione, Redakcjo czasopism nie były nawet powiadomione (a mówimy to i o sobie), chociaż sprawy wychowania mają na pierwszym względzie. Słowem rzecz cała odbyła się nieudolnie i czyżby z umysłu poufnie? Spodziewamy się, że wydział, (któremu zapewne przyjemniéjby było, gdyby był przez trójnasób liczne zebranie umocowany) naprawi, co ze szkodą towarzystwa dotąd zaniedbano.

MODY.

Jakie są najmodniejsze suknie spacerowe i podróżne? oto zapytania ze wszech stron nas dochodzące. O suknie wizytowe nie pytają się panie na teraz, a tam, gdzie takowe potrzebne, wystarczają te, które do tych czas modne były.

Mantylki z szarfami (Fichu) w różnorakich krojach prawie niezbędne się stały do każdego ubrania.

Drugie miejsce zajmuje pasek z szarfą noszony do paletocików i do sukien na ulicę i w salonie Najładniejsze są podwójne a nawet potrójne szarfy, spadające jedna na drugą, z których najdłuższa dochodzi do dołu sukni.

Fontazie do szarf najmodniejsze są w kształcie motyla lub okrągłéj rozety.

Do mantylek (Fichu) używają także pasków z szarfami, które zastępują szarfy od mantylki.

Suknie podpinane z boku lub z tyłu najładniéj wyglądają ubrane neżami karbowanemi lub fałdowanemi w dwóch kolorach.

Szerokie fałdowane falbany należą zawsze do eleganckiego ubrania sukni, byle ich nie było za wiele.

Suknie do podróży, spacerowe i do ubrania w domu powinny być zawsze skromne, ale pełne gustu, dla tego polecamy na podróżne suknie materją wełnianą mieniącą, koloru popielatego lub brązowego. Materje te od niedawna w fabrykach zagranicznych wyrabiają, są one lekkie, więc odpowiadają swemu przeznaczeniu. Suknie z tych materyj ubierają pliskami (Biais) tj. dwie pliski wełniane, a w pośrodku nich jedwabna, przyszyte w koło sukni i paletocika tak, by wyglądały jak zakładki do góry kładzione.

Suknie domowe i spacerowe bywają z paletotami do stanu przopasane paskiem ze szarfą w tyle.

Co właściwie modne, nie można dziś zapewniać, gdyż wszystko, co dobry gust znamionuje, jest modne — oto wielki postęp w téj mierze. — Dlatego to w samym Paryżu najmniéj widać ubiorów z żurnalu. Suknie wizytowe ubierają w liście wycinane z téjże co suknia materyi, lamowane atlasem i w kształcie wieńca na sukni ułożone bądź wyżéj lub niżéj, byle tylko wielkości liści nie przesadzić.

Opis ryciny.

Suknie wierzchnie, paletoty i kaftany ogółem do stanu się krają.

Rycina dzisiejsza przedstawia trzy takie ubrania. Pierwsza osoba nosi krótki paletocik bogato krepinami ubrany, Fig. 1—4. na arkuszu przedstawia krój tegoż.

Osoba druga ubrana w Casak zapięty do saméj góry, jest on z jedwabnéj materyi opasany paskiem z torbeczką, pod którą jest suknia podpięta.

Fig. 5—8. przedstawia krój tegoż Casaka.

Także trzecia osoba na rycinie nosi letnie ubranie w rodzaju paletota, którego krój pod Fig. 8—12. podajemy. Ozdoby tegoż ubrania są z błękitnéj materyi i krepin szmuklerskich. Sposób tego ubrania nie łatwo można naśladować z materyi ordynaryjnéj

Opis krojów.

Fig. 1—4. **Paletocik** osoby pierwszéj na rycinie ubrany jest dwojakim sposobem, wycinaną materją i guzikami, na boczku Fig. 2. widzimy ubranie z wycinanych liści ułożonych jeden na drugim; na przodzie i plecach jest znowu odrębne ubranie podane.

Krój paletocika jest na $^1/_6$ zmniejszony. Sposób zwiększania podaliśmy już kilka razy. ☞ **Powtarzamy znowu, że sposób powiększania, miary, tabelę przesyłamy na żądanie gratis.**

Fig. 5—8. **Ładny krój Casaka** osoby drugiej na rycinie. Ładne to ubranie zaleca się samo dobrym gustem i zupełnie nowym sposobem upięcia paska z torbeczką. Ten, jakotéż krój ubrania osoby trzeciéj Fig. 8—12. powiększa się sposobem Sz. Czytelniczkom wiadomym.

Fig. 13—14. **Krój mantylki** (Fichu). Dolna część mantylki z tyłu kraje się tak, by była otwarta tak, iżby formowała dwa końce; plecy mogą być w całości krajane.

Fig. 15—20. **Żakiet w naturalnéj wielkości** dla osoby 47—48 centimetrów pół szerokości piersi mającéj. Ubranie żakietu składa się z jedwabnych plisek (Biais) i guziczków lub z jedwabnéj taśmy.

Dodatek nadzwyczajny.

Model w naturalnéj wielkości żakietu letniego najnowszéj formy — robi się go albo odrazu z téj materyi co suknia, albo z innéj lekkiéj, taffetu... Ubiera bardzo wdzięcznie — ozdabia się go albo obszywką po krajach z jedwabnéj wstążki na szerokość 1—1 $^1/_2$ cala — albo ukośnemi płatkami z taffetu — np. przy zupełnie jasnéj materyi wyglądają bardzo delikatnie ozdoby jasnoniebieskie.

*** **Etykieta** (dok.) To znaczy, że etykieta tak się stała drugą naszą naturą, że według niéj tak bez namysłu postępujemy, wszystkie jéj pomoce i dobrodziejstwa przyjmujemy jako coś, co się samo przez się rozumie — a o niéj saméj wcale zapominamy. Aż dopiero gdy opustoszeje miejsce po owym obrazie, gdy utkniemy o jakiś brak etykiety, dopiero sobie ją przypominamy. Bo jakaż to i wygoda z tą damą. Oto wymaga, aby pierwsze wizyty nie trwały dłużéj jak kwadrans — przykazanie to chroni gospodarstwo od natrętności, a gościa od naprzykrzenia się, a obie strony od ołowianéj atmosfery luźnéj rozmowy. Wymaga też, jeżeli się pana lub panią znajdzie na wychodném, żeby się mimo próśb nie wrócić — jest to ochrona i względność. Tak każdéj przepis etykiety miał przyczynę swoją rozumną i potrzebną, choćby jéj dziś trudno nieraz odszukać — a zniknie przyczyna, upadnie i przepis. Po obiedzie proszonym należy się pani domu wizyta w przeciągu 14 dni. Francuzi zowią to *visite de digestion* i powiadają, że póki się jéj nie odda, nie ma się prawa krytykować obiadu. Jeżeli kto proszony na wieczór, i chce daléj w domu bywać, winien oddać wizytę w 14 dni — w przeciwnym razie nie czyni tego, i tak etykieta uczy zerwać stosunek w sposób najłagodniejszy. Wieczór zwykle mężczyzni oddają wizyty — damy tylko w pewne umyślne dnie. Jeżeli etykieta wymaga, aby damy na wizytę dzienną nie przychodziły w toalecie wieczornéj, z ubiorem z kwiatów.... to wiedzą one najlepiéj na co się wtedy kapelusik przydaje. W dzień białe rękawiczki, wieczór palia, bo przy świetle wyglądają biało. Nie szeptać, ale brać udział w ogólnéj rozmowie, nie wstawać do odejścia podczas rozmowy, odchodzić ile możności bez zwrócenia uwagi.... Pani domu nikomu swojego miejsca nie powinna ustępować, bo ona przedstawia dom, więc tylko jéj przysłuża honorowe miejsce. Gość żaden nie może ustępować swojego miejsca późniéj przychodzącemu, bo wskazanie miejsca to wyłączne prawo pani domu — wyjątek tylko dla wielce szanownych a starszych osób. Paletot zostawia się w przedpokoju, a kapelusz trzyma się w rękach, bo bez tego nie wiedzieć co robić z rękami. — Mężczyzni wstają, gdy wchodzi kobieta — kobiety kłaniają się skinieniem głowy, chyba gdy wchodzi jaka szanowna osoba z rodziny domu — powstanie wtedy znaczy się nie dla osoby, ale dla domu. — Póki jeszcze ktoś pozostał, nikt niechaj nie dopuszcza, żeby go aż do drzwi odprowadzono. — Kobiety mają zawsze pierwszeństwo, starsze przed młodszemi, mężatki przed pannami — miejsca honorowe są obok pani domu. — Idąc do stołu, podaje pani domu rękę najzacniejszemu gościowi, ale idą w ostatnią parę — w pierwszą pan domu z najszanowniejszą damą — przeciwny porządek od stołu. — Jest to rozumne — pierwszy idzie pan domu, bo ma wskazywać miejsca — pani na ostatku, żeby żaden gość nie czuł się ostatnim — z powrotem do salonu prowadzi pani domu, bo ona tu główną osobą. Zwykle podawano damom prawe ramię, bo to strona jakoby

honorowsza, a głównie, że dawniéj po lewéj wszyscy nosili szpadę. Teraz podaje się lewe ramię, aby zachować wolną prawą rękę. Kto kogo do stołu ma prowadzić, wyznacza gospodarz — zatrzymywać się ani ustępować pierwszeństwa nikomu nie można — to należy do taktu prowadzonéj damy. Mężczyzni siadają gdy już wszystkie panie usiadły — bierze tu etykieta i toalety w obronę. Widelec w lewą, nóż w prawą rękę — służbie nie dziękuje się — nie służą oni gościom, ale swojemu państwu. — Na weselu sadza się państwa młodych naprzeciw siebie — około panny młodéj obaj ojcowie — koło pana młodego obie matki — i t. p.

Pomijamy tu etykietę dworską, mającą także swoje powody, a widzimy już z tych kilku przytoczeń, że nie etykieta jest sztywną, ale ci, którzy się o nią nie starają i stoją zaambarasowani, nie wiedząc co robić. Nie etykieta jest uciążliwą, ale ci, co bez niéj krzyżową sztuką przez towarzystwo chcą się przebijać — należy się zatém etykiecie wszelki szacunek. ⊙

*** **Z Paryża.** Obecnie Paryż niepodobny wcale do zeszłorocznego o tym czasie, kiedy w skutek wystawy powszechnéj babiloński zamęt i hałas panował. Ze stołecznych rozrywek pozostały dzisiaj wyścigi — dobre to na jeden raz — *salon* tj. wystawa malarska i teatra. *Théâtre français* postawił niedawno w swoim *foyer*, niby w Walhalli dramatycznéj muzy francuskiéj, biust „Alfreda Musset", a dzienniki rozbierają i sprzeczają się o jego zasługi. A biorą pod rozwagę nie tylko poetę, ale i człowieka i obywatela — i jedni zarzucają mu, że przyśpiewywał Ludwikowi Filipowi — drudzy że za dużo pił absintu. I krzyczą jedni: gdyby nie był pił, nie byłby śpiewał — a drudzy: gdyby był mniéj pił, byłby więcéj śpiewał. Można na to odpowiedzieć, że wielu ludziom się zdarza, że raz dużo piją, znowu mniéj — a nigdy i jednéj piosenki nie napiszą, o którąby znawcy Musseta posądzić mogli. Starożytni mieli swoją hipokrenę, Horacy mówi o zachwycającém upiciu — ale można iść w zakład, że ody swoje pisał na trzeźwo. Toć zapewne i Mussetowi nie alkochol dyktował jego „Rollę" i cudowne „Noce", które teraz z rozdaniem ról w *théâtre français* wygłaszają, jak w Niemczech „Pieśń o dzwonie". Mówią, że gdyby nie absint byłby niezawodnie dłużéj żył — ależ najpierw on nie umarł i nie umrze nigdy, a potém czy podobna wystawić sobie Musseta z siwym włosem i łysą głową?! Inni zapytują, czy ów tylekroć omawiany stosunek miłosny Musseta z panią George Sand oddziałał na niego dobroczynnie czy szkodliwie? Romans ten, w którym ona jest właściwie mężczyzną a on kobietą, zajmował już niejednokrotnie publiczność. Istnieje już o téj sprawie cała psychologiczno-patologiczna literatura, i nie ma jednéj skrzynki u antykwarzy na *Pont neuf*, żeby tam nie znaleść jakiéj książki z tytułem „On i ona", albo „Ona i on". Najprawdopodobniéj zdaje się, że gdyby był Musset nie kochał się w George Sand, byłby kochał inną, i tak samo cierpiał, i takie same piękne wiersze pisał. Nie brakowało poetom nigdy na kobietach, które ich robią nieszczęśliwymi. Zresztą wolno było i innym kochać się w George Sand i ani wątpić, że ta wielka kobieta natchnęła nie jeden i nie sto lichych wierszy. Dziwne to jednak, jak zawsze oficjalne uznanie wywołuje reakcją w uwielbieniu publiczności. Biednego Berangera o mało nie zabił rząd w opinii przez sprawienie mu marszałkowskiego pogrzebu; i nazwano go fałszywym poczciwcem. Na Musseta nigdy tak nie napadano, jak od czasu, gdy biust jego stanął w konwersacyjnéj sali cesarskiego teatru. Aby zgubić Wiktora Hugo, dośćby było, żeby mu cesarz postawił pomnik, kazał ochrzcić jaki bulwar nowy jego imieniem i zacytował w jakiéj mowie jego odę do Napoleona I. Zamiast tego zakazują jego sztuki grywać, przejmują jego listy, żonę i dzieci jego biorą pod dozór policyjny ilekroć przyjadą do Francyi — za to cały naród go uwielbia. I to ma się nazywać mądrą polityką, a tak nie znają własnego narodu. Ale widzę, że trzeba mi zakończyć te zapiski, bo oto już zjeżdżam na politykę, zaczynam ziewać — a za podobne wrażenie na czytelnikach — wątpię, czybyście mi wdzięczni byli. §.

☛ Jutro 2go t. m. odbędzie się o godzinie 6téj popołudniu w sali u p. Mireckiego **popis szkoły śpiewu dramatycznego** któréj jest dyrektorem.

*** **Nowiny krakowskie.** Na oglądanie skoczków i psów chodzących po linie, zbierało się nad Wisłą do 20,000 ludzi. — Na wesele panny Róży Potockiéj pojechało do Krzeszowic do 3000 gości nieproszonych. — Na kazaniach X. Semeneńki bywał kościół przepełniony. — Na wiankach było widzów mnóstwo, ale wianków mało. Opinia zapytuje niewiadomych dotyczących: czy ognista dewiza „A. U." pokazywana na wiankach znaczy AUstrja? — Nowin w Krakowie wcale nie ma, za to w dwójnasób małomiejskich plotek....

*** **Kompromitacja.** Nie dawno temu zdarzyło się, że posłów chińskich obecnych w Nowym-Jorku odprowadzała po ulicach liczna publiczność. Jedna dama, wytwornie ubrana tak dalece ciekawość swoją posunęła, że aż wzięła w ręce na łokieć długi, czarny warkocz sekretarza poselstwa i z upodobaniem mu się przypatrywała. Chiński kawaler uśmiechnął się, rzucił złośliwe spojrzenie na *chignon* téj damy i zawołał: *All mine*, *all mine* tj. wszystko moje własne włosy. Dama zapłoniona oddaliła się czemprędzéj wśród śmiechu tłumu.

*** **Żeńska armia.** Potwierdza się wiadomość, że Lopez utworzył wojsko z kobiet, głównie jako rezerwę. Jenerałową brygady mianował pannę Elizę Lynch. Amazonki przestaną więc być bajką. Standard dziennik w Buenos Ayres gromi o tę sprawę Lopeza surowemi słowy.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.
We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu".
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.